

Cezary RITTER

## W MUZEUM WYOBRAŹNI

Moje redakcyjne koleżanki, gdy dowiedziały się niedawno, że planuję krótki wyjazd do Paryża, natychmiast obarczyły mnie zadaniem napisania felietonu do działu „Przez pryzmat Ethosu”. „Paryż cię natchnie, więc na pewno coś ciekawego napiszesz” – zgodnie przekonywały. Roztoczyły przy tym wizję moich wizyt w paryskich muzeach, zachęcając zwłaszcza do odwiedzenia Muzeum Rodina. Ponieważ niniejszy numer zatytułowany jest „Ciało – osoba – kultura”, oglądanie słynnego *Myśliciela*, czy nie mniej słynnego *Pocatunku*, faktycznie byłoby tu jak najbardziej na miejscu. Natchnienie gwarantowane.

Niestety, z wizyty w Muzeum Rodina nic nie wyszło, natchnienie mnie ominęło, a felieton napisać trzeba. W Paryżu za mało miałem czasu, by odwiedzić którykolwiek z licznych przybytków sztuki. Musiał wystarczyć dłuższy spacer w sobotni wieczór dość standardową trasą (może należało wybrać inną, bardziej inspirującą?): plac Concorde, Pola Elizejskie, Łuk Triumfalny. Stamtąd aleją Klébera w stronę placu Trocadéro. Mojemu trzynastoletniemu synowi plac ten kojarzy się z Adolfem Hitlerem, bo widział w telewizji zdjęcia dokumentalne, na których tenże, po zdobyciu Paryża przez niemieckie wojska, właśnie z placu Trocadéro oglądał wieżę Eiffla, zdaje się, że w towarzystwie swojego nadwornego architekta Adriana Speera. Szukali inspiracji dla planowanej przebudowy Berlina?

Hitler i jego architekt przeminęli, a my, turyści z różnych stron świata, podziwialiśmy w sobotni wieczór rozświetloną błękitem i przyozdobioną kołem żółtych gwiazd wieżę (widomy znak prezydencji Francji w Unii Europejskiej). Spod wieży Eiffla, Polami Marsowymi (teraz ja z kolei miałem skojarzenia, ale zgoła odmienne: tu Jan Paweł II spotkał się w 1997 roku z młodzieżą z całego świata), udałem się w okolice Kościoła Inwalidów, kryjącego grobowiec Napoleona (żadnych skojarzeń? Może rok 1812...), aż znalazłem stację metra, by wrócić do hotelu. Tyle było oglądania Paryża.

Ponieważ jednak Paryż odwiedzałem już wcześniej, więc poszukując zamówionego przez koleżanki natchnienia, mogłem korzystać ze wspomnień dawniejszych ekskursji, w tym również muzealnych; przywołać w pamięci Luwr (byłem tam dwa razy – za pierwszym razem nawet udało mi się zatrzymać chwilę przy Giocondzie)

i Muzeum d'Orsay, które przyciąga głównie bogatą kolekcją dzieł impresjonistów. Te dwa muzea, położone na przeciwnych brzegach Sekwany, poniekąd rywalizują ze sobą o względy turystów.

Podczas wizyt w tych słynnych i szacownych miejscach zetknąłem się z czymś, czego przedtem nie znałem. Oto w Luwrze przed posągiem Wenus z Milo siedziała na posadzce grupka dzieciaków – w wieku naszych „zerówkowiczów” – z kartkami i ołówkami w rękach. Z wielkim zaangażowaniem dzieci starały się na tych swoich kartkach narysować to, co widziały przed sobą. A widziały posąg Wenus z Milo. Ich opiekunki, chodząc między nimi i spoglądając co pewien czas na ich prace, coś podpowiadały, tłumaczyły. Dzieci zaś, z nosami w kartkach, podnosząc od czasu do czasu głowy – rysowały. „Cóż to za pomysł! – pomyślałem – nie są za małe?”. Zatrzymałem się przy nich nieco dłużej, ciekaw, jak sobie z trudnym zadaniem poradzą.

Podczas tej samej wizyty w Luwrze podobnych obrazków mogłem zobaczyć więcej. Co pewien czas, w kolejnej sali, przy rzeźbie lub obrazie gromadziła się grupa uczniów lub studentów wokół – jak mogłem się domyślać – ich nauczyciela plastyki lub profesora historii sztuki. Czasem były to zajęcia praktyczne – nauka rysowania lub kopiowania – innym razem wykłady czy seminaria. Sądziłem, że idąc do Luwru w okresie zgoła nieturystycznym – był to bowiem luty – będę krążył po kolejnych salach we względnej ciszy, aby wraz z innymi zwiedzającymi z nabożnym szacunkiem oddawać się oglądaniu coraz to słynniejszych rzeźb i obrazów. Tymczasem trafiłem w sam środek zajęć edukacyjnych na wszystkich możliwych poziomach: od zajęć niemal przedszkolnych po akademickie. Można rzec: Luwr mi się objawił jako połączenie muzeum, domu kultury, w którym prowadzone są zajęcia plastyczne, szkoły, uniwersytetu i akademii sztuk pięknych. Do tego od czasu do czasu spotykałem profesjonalnych kopistów obrazów przy pracy. Pewnie mieli jakieś oficjalne koncesje na wykonywanie kopii. Pamiętam, że trochę zadrżałem, gdy ujrzałem, bodaj przy *Koronczarce* Vermeera, kopistę, który ze swoją sztalugą, pędzlem i farbami stał nie dalej niż metr od oryginału. „Nie boją się, że pochłapie i zniszczy obraz?” – przemknęło mi przez głowę. Widać się nie bali, on zaś wcale się nie denerwował, gdy ktoś – podobnie, jak ja – zaglądał mu przez ramię, konfrontując efekt jego pracy z wiszącym tuż obok na ścianie oryginałem.

Czemu o tym wszystkim piszę? Bo miało być o Paryżu? No, niezupełnie. Raczej dlatego, że uświadomiłem sobie, iż oglądając obrazy, przyglądając się rzeźbom, uczymy się również patrzeć na ludzkie ciało: jego piękno, przemijanie, jego znakowy charakter, często odsyłający do treści zgoła niematerialnych. „Ciało – osoba – kultura” – czyż nie jest to jeden z wielkich tematów podejmowanych przez malarzy i rzeźbiarzy od zarania dziejów, we wszystkich bodaj kulturach, nawet jeśli nikt spośród nich tego tak nie nazwał? Pablo Picasso zbierał afrykańskie figurki, ludzkie akty, którymi się inspirował w swojej twórczości. Była to oczywiście jedna z wielu inspiracji. Do tych zbiorów – obrazów i wspomnianych figurek pozostawionych w pracowni artysty – nawiązuje André Malraux w książce *Głowa z obsydianu*, napisanej po śmierci Picassa, z którym się przyjaźnił, i wspomina o tym, że każdy artysta i każdy, kto jest świadomym odbiorcą sztuki, tworzy swoje własne muzeum wyob-

raźni. Kolekcjonuje w nim dzieła, które są mu bliskie, które go inspirują, poszerzają przestrzeń jego wyobraźni i horyzonty myślenia. Takie muzeum stworzył sobie Zbigniew Herbert i jest ono obecne w jego esejach o sztuce.

Sądzę, że takie estetyczne uwrażliwienie w odniesieniu do tematu ludzkiego ciała jest dziś szczególnie ważne. Dlaczego?

Pewną odpowiedź daje nam Jan Paweł II w *Tryptyku rzymskim*, gdy w nawiązaniu do biblijnego obrazu stworzenia mężczyzny i niewiasty, zainspirowany freskami Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej, pisze: „«Oboje zaś byli nadzy i nie doznawali wstydu». / Czy to możliwe? / Współczesnych o to nie pytaj, lecz pytaj Michała Anioła, / (a może także współczesnych?)”<sup>1</sup>.

Owszem, ciało ludzkie jest silnie obecne w wyobraźni współczesnych. Ale w jaki sposób? Czy tak samo, jak w wyobraźni Michała Anioła? Albo tak, jak w wyobraźni artysty, który przed tysiącami lat wyrzeźbił Wenus z Milo? Może więc nie był to taki zły pomysł francuskich nauczycielek, żeby dzieci popatrzyły trochę na tę rzeźbę, żeby przy niej uczyły się rysować? Może dzięki tym nauczycielkom będą zdolne tworzyć z czasem swe własne muzea wyobraźni?

Tym pytaniem można by niniejszy tekst zakończyć, ale warto może przy tej okazji zapytać o coś jeszcze. Co z wyobraźnią naszych polskich sześciolatek, dziesięciolatek, piętnastolatek? Innymi słowy: co dzieje się w naszych polskich muzeach? Czy jest tam podobny gwar i ruch jak w Luwrze? Co z kolei z tak zwanym wychowaniem plastycznym w naszych szkołach? Problem – podobnie jak problem wychowania muzycznego – co pewien czas jest podejmowany przez zainteresowane środowiska, zazwyczaj w tonie coraz bardziej alarmistycznym, by po raz kolejny umrzeć śmiercią naturalną. Jakoś nie ma komu się nim naprawdę przejąć. No bo po co komu wiedza o kolorach, dźwiękach, formie, kształtach...? Czym są? Po co istnieją? Co wyrażają? Co przekazują? To wszystko takie niekonkretne, tak mało dosłowne, a więc niepraktyczne i nieużyteczne.

A wyobraźnia nam ubożeje...

---

<sup>1</sup> Jan Paweł II, *Tryptyk rzymski. Medytacje*, w: *Wokół „Tryptyku rzymskiego” Jana Pawła II*, red. ks. A. M. Wierzbicki, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2003, s. 14.